**Artur Pomierny, Egoexi – fragment**

Gdańsk: Oficynka 2020.

**OSKAR KRUPO**

– Wiesz, że ostatnio poszedłem jednak do Natalii? – zagaił w końcu jeden z dwójki młodych mężczyzn wygodnie usadowionych między kamieniami obrośniętymi podgniłym mchem.

– No w końcu, naprawdę? A myślałem, że nigdy się nie odważysz – odpowiedział drugi, ciesząc się, że wreszcie przerwali krępującą ciszę.

– Jakoś się przemogłem. Akurat miałem wolne i porządkowałem komórkę dziadka. Po południu zobaczyłem, że jej rodzice gdzieś pojechali. Poszedłem i zapytałem, czy nie chciałaby wieczorem przejść się do tej pierogarni na Armii Ludowej.

No i zgodziła się!

– Pff… Pierogarni. – Jego kolega prychnął, aż musiał odkaszlnąć.

– Kiedyś była tam dobra pizzeria.

– A nie zaprosiła cię od razu do domu? – zapytał po cichu Oskar Krupo, z łatwością podchodząc dwójkę podległych mu chłopaków.

Odwrócili się i spojrzeli na swojego dowódcę z podziwem, mrużąc przy tym oczy. Mężczyzna znacznie starszy od nich stanął tak, że słońce świecące zza jego pleców całkowicie ich oślepiało.

– Panowie, pytam poważnie! Wieczorami bywa niebezpiecznie, sami wiecie. A tak poza tym… Widzę, że zrobiło wam się tu dość wygodnie, a wiecie, że to zły znak…

– Tak. Przepraszamy – odezwał się ten, który rozpoczął rozmowę.

Krupo nie zareagował. Klęknął obok nich i wychylił się zza kamienia, by zbadać sytuację po drugiej stronie szutrowej drogi. Z łatwością dostrzegł dającego mu znaki Mariusza Kowalczyka, dowódcę drugiej trójki. Ten zbliżył dwa wyprostowane palce do oczu, po czym skierował rękę we wschodnim kierunku – tam, gdzie droga wychodziła z zagajnika zdominowanego przez wysokie brzozy. Krupo natychmiast spojrzał tam, gdzie pokazywał jego kolega z dawnej klasy liceum.

Na otwarty odcinek terenu, gdzie droga przecinała ogromną połać wyschniętej, wysokiej trawy, z ogromną prędkością wjechał potężny samochód terenowy. Pomalowany na wyblakły zielony kolor pojazd dość gładko sun ł przez kolejne wyboje po suchej, piaszczystej drodze. Musiał mieć wzmocnione wojskowe amortyzatory i zapewne całkowicie zmodyfikowane, odporne na amatorskie miny-pułapki podwozie. Jednak nie tego obawiał się dowódca tej spontanicznej misji, blisko czterdziestoletni Krupo. Jego głównym zmartwieniem, trapiącym go od chwili, gdy zjawili się tu dzisiejszego dnia, było to, że miejsce to było wręcz idealne na zasadzkę i wróg mógł przewidzieć wysokie prawdopodobieństwo pułapki. A to spowodowałoby wybranie innej drogi, reakcję siłową lub zasadzkę na zasadzkę. Na razie jednak wszystko szło po myśli Polaka, a informacje, które dostał zeszłego wieczoru od dowódcy regionu, zdawały się to potwierdzać. Martwił się też o chłopaków pod swoją komendą. Tak jak on, chcieli walczyć i byli oczywiście ochotnikami, ale tej misji wcale nie musieli się podejmować. Nie był to cel strategiczny, do którego przeznaczono by większe, skoordynowane siły.

To był rodzaj zadania pobocznego, mogły więc wziąć udział w jego wykonaniu dowolne grupy z okolicy. Takie słabo pilnowane transporty poruszały się tą drogą prawie każdego tygodnia od czasu zawieszenia głównych działań zbrojnych. Zawsze mniej więcej o tej samej porze. Takich celów poszukiwał Oskar Krupo. Niezobowiązujących, lokalnych, pozapolitycznych, realizujących czystą potrzebę jego duszy, jaką było pragnienie zemsty.

– Ale on zawsze tak zapierdala? – zapytał, jakby słyszał myśli w głowie przełożonego, jeden z młodzików.

Oskar spojrzał przez swoją malutką lornetkę na samochód uciekający przed tumanami wznieconego kurzu.

– Nie wiem – odpowiedział cicho i niezdecydowanie. – Dobra, przygotujmy się. Druga trójka rozpocznie atak, jak tylko usłyszy nasz ostrzał. Sprawdźcie broń i czekajcie na mój strzał. – Lider drużyny poprawił swój głos na bardziej przekonujący. Z wielkiej, zabłoconej torby przeznaczonej do transportu wędki wyciągnął stary karabin. Broń miała założoną specjalną lunetę z czterokrotnym powiększeniem. Nie była to żadna broń snajperska, ale Krupo zwykł o niej tak myśleć. W tej chwili również komfortowo usadził lufę karabinu na grubej szmacie rozłożonej na jednym z większych kamieni. Poliwęglanową kolbę delikatnie schował pod prawym policzkiem, po czym utkwił wzrok w lunecie. Z trudem utrzymywał w okrojonym polu widzenia optyki wirażujący pojazd, próbujący ominąć większe dziury na drodze. Jeszcze raz zastanowił się, czemu samochód jedzie tak szybko. Samozwańczy snajper próbował utrzymać celownik na kierowcy, którego sylwetkę dało się dostrzec mimo mocno przyciemnionych szyb. Nie wiadomo kiedy terenówka pokonała wyschnięte pole i już ostatnie metry dzieliły Polaków od wjazdu do gęstego lasu, gdzie przygotowali finał zasadzki.

Chłopcy w skupieniu naszykowali swoją broń i napięli mięśnie ramion, spodziewając się mocnego odrzutu starych kałasznikowów. Olbrzymi SUV bez tablic rejestracyjnych wbił się w las, w ogóle przy tym nie zwalniając. Oskar Krupo zaczął obciążać spust, gdy pod prawą pachą poczuł ściekającą kroplę potu. Nie było zimno – mężczyzna ubrał się zbyt grubo jak na wiosenne popołudnie. W dodatku z nerwów zapomniał założyć szkła kontaktowe, choć naszykował je w łazience jako ostatni punkt do odhaczenia przed wyjściem. Tragedii nie było, ale nawet delikatny zanik światła słonecznego powodował rozmycie obrazu oddalonego choćby o kilka metrów. A w takim właśnie zacienionym miejscu zorganizował swoją dzisiejszą pułapkę. Niebagatelne znaczenie dla jego taktyki miało to, że samochód musiał pokonać ostatni odcinek po idealnie prostej, wąskiej drodze, obrośniętej z obu stron gęstymi chaszczami.

Na chwilę przed oddaniem strzału Krupo miał wrażenie, że człowiek, w którego celuje, nachylił się do szyby, próbując dostrzec coś na drodze. W ostatnim momencie, w lunecie ze zbyt dużym przybliżeniem jak na ten dystans, ujrzał oczy kierowcy skierowane prosto w niego. Wydały mu się zdezorientowane.

Strzelił. Hałas wypłoszył stadko bogatek koczujących na okolicznych drzewach. Wszystkie uciekły w zachodnim kierunku. Pocisk przebił przednią szybę samochodu. Najwidoczniej trafił kierowcę, zachowując swój pęd. Terenówka gwałtownie skręciła w lewo i z impetem zjechała z drogi, miażdżąc pierwsze chaszcze. Wjechała prosto na lekkie wzniesienie, gdzie operowała druga trójka Polaków, dowodzona przez Mariusza Kowalczyka.

Mimo wcześniejszych założeń po strzale Krupo pozostali partyzanci nie rozpoczęli zmasowanego ostrzału. Może zabrakło im odwagi – zdążył pomyśleć Oskar. Albo tak jak u niego górę wzięła ciekawość tego, co się za chwilę stanie z ciężkim pojazdem poddanym surowym, potężniejszym od wszystkiego prawom fizyki. Nie zdążył się nawet zmartwić o kolegów, na których pędziła blisko trzytonowa terenówka. Kątem oka zauważył tylko, jak Mariusz Kowalczyk próbował jakimś prostym gestem ściągnąć zesztywniałą dwójkę chłopców z pagórka. Rozpędzony pojazd z wielkim prawdopodobieństwem przebije się przez kamienie i ich zmasakruje.

Na to, co się zaraz wydarzy, nieoczekiwanie postanowił nie czekać młody Robert Swornik, syn mechanika Henryka Swornika, innego kolegi z dawnej klasy Oskara Krupo i Mariusza Kowalczyka. Pociągnął długą serią z karabinu. Kilkanaście pocisków trafiło w samochód – przestrzeliły opony przedniego prawego koła, zrobiły dziury w nadwoziu ponad błotnikiem i rozbiły boczną szybę od strony pasażera. Pojazd tylko trochę zwolnił, ale pęknięta opona spowodowała, że bestia odbiła tym razem w prawo. Kąt nachylenia zrobił się zbyt duży i samochód zaczął się przechylać. Dzieło dopełniło się na szczycie pagórka, gdzie lewe koło podbiło się o jeden z kamieni i auto z całą siłą przewaliło się na prawą stronę, spadając na drogę i ryjąc przy tym głęboko w ziemi. Przez przednią, rozbitą szybę wyleciały dwa zakrwawione ciała. Kierowca i przedni pasażer musieli zginąć od kul Polaków, a teraz leżeli jeden na drugim, jak szmaciane lalki od niechcenia rzucone w kąt. Dopiero gdy przewrócone auto przestało się kołysać, automat zaprzestał nadawać pęd kołom. Spod maski i osłony przedniego grilla zaczęło się dymić.

– Obserwujcie drogę, czy nikt nie jedzie. Obie strony! – krzyknął Oskar przez drogę do Mariusza Kowalczyka i jego chłopaków.

– A my idziemy. Powoli. Uważajcie, z tyłu samochodu mogą być następni.

Ruszyli. Krupo wyraźnie czuł strach swoich podwładnych. Miał wrażenie, że jeden boi się, że z auta zaraz ktoś wyskoczy, a drugi, że tego, co zrobił – a zabił człowieka – nie da się już odwrócić. Jeszcze mocniej chwycił swój karabin w gotowości do strzału na wypadek, gdyby chłopcy zwątpili. Przy okazji przypomniał sobie, by przełączyć go na tryb automatyczny. Z nerwów bolała go głowa. Uczestniczył już w podobnych akcjach, ale tym razem jako jedyny miał doświadczenie i musiał dbać o detale. Dlatego oprócz obserwowania rozbitego samochodu próbował też ogarnąć kątem oka daleki horyzont w oczekiwaniu na akcję odwetową. Ufał tylko sobie.

Skupienie skradających się Polaków, niczym tygrysy powoli podchodzących do okrążonej ofiary, przerwał skrzekliwy głos wydobywający się z dymiącego samochodu.

– Nie strielajtie!

Wszyscy bez wyjątku skierowali swoje karabiny na samochód. Nikt jednak nie próbował się z niego wydostać. Piaszczysta droga chłonęła krew wypływającą ze śmiertelnych ran dwójki ludzi ubranych częściowo w cywilną odzież, a częściowo w wojskową. W obu przypadkach można było dostrzec niemiłe dla oka rany postrzałowe twarzy i głowy.

– To nie są zwykli wojskowi – stwierdził jeden z młodzików od Mariusza Kowalczyka.

Nagle rozległ się huk wystrzału wewnątrz przewróconego auta. Głos, który przed chwilą usłyszeli Polacy, teraz jeszcze raz się odezwał, ale było to coś w rodzaju serii chrapnięć, jakby ktoś krztusił się krwią. Możliwe, że w środku właśnie ktoś umierał.

– Hej! Polish? – kolejna osoba krzyknęła z wnętrza samochodu.

– Ja Amerykanin. Wszyscy nie żyją, all dead. Nie strzelaj. Don’t shoot!

Szóstka uzbrojonych partyzantów spojrzała po sobie.

– Co jest? – zapytał Mariusz Kowalczyk. – Kogośmy upolowali?

– Wychodź! – krzyknął Oskar Krupo i poprawił karabin pod brodą.

W ciemności samochodu coś się zakotłowało, coś spadło, aż w końcu poruszyły się ciała dwójki nieżywych ludzi, wyrzuconych przez przednią szybę. Oczom Polaków ukazał się ubrany cały w czarny bawełniany dres mężczyzna w podobnym do Krupy wieku. W wielu miejscach na ubraniu widać było wilgotne, ciemnobordowe plamy. W końcu zdołał wyczołgać się ze środka. Od czoła do czubka głowy miał ranę ciętą, z której ciekła gęsta krew. Gdy tylko udało mu się opuścić wrak samochodu, spróbował podnieść się na kolana, ale po chwili znowu padł na ziemię z braku sił. Oskar Krupo kazał pozostałym sprawdzić środek pojazdu, w którym na tle wpadających do środka promieni słonecznych widać było unoszący się kurz. Dało się też dostrzec sylwetkę jeszcze jednego mężczyzny leżącego w rogu tylnej kanapy.

Krupo odłożył broń i pochylił się nad ocalałym. Widząc, że mężczyzna ma problemy z oddychaniem, postanowił unieść jego głowę i oprzeć miękkie plecy o swoje kolano.

– And rye… – ocalony ledwo otwierał usta, mamrocząc niezrozumiale.

– And… ray…

Spojrzenie rannego było mętne i nie wyrażało żadnej emocji.

– Lennart. CIA. Please re…

W pewnym momencie zaczął o wiele płynniej mówić po rosyjsku, choć z bardzo dziwnym akcentem:

– Wy zabyli. Wy zabyli. Wy zabyli…

Po chwili jego powieki przymknęły się, a ciało nabrało ciężaru. Krupo sprawdził tętno. Mężczyzna żył, choć stracił przytomność.

– Dobra, panowie, zbierajmy się stąd. To nie był zwykły transport amunicji ani żaden goniec… Zdaje się, że trafiliśmy na grubą aferę. Na pewno za chwilę będzie tu dywizjon Ruskich albo, co gorsza, stado terminatorów. Przeszukajcie wszystkich, zabierzcie dokumenty, jeżeli jakieś znajdziecie. W samochodzie również. Zobaczcie, czy coś jest w bagażniku. Macie dwie minuty.

– A co z nim? – zapytał Robert Swornik.

– Zabieramy go. Rozłóżcie nosze i lecimy z nim przez las do mojego domu. A potem się rozłączamy i nikt z nikim nie gada.

– Panie Oskarze… – zapytał osiemnastoletni Marcin Rurka, który zaprosił Natalię Solej na pierogi. – To Amerykanin?

– Być może. Tylko Ruscy coś mu chyba zrobili.

**ALEKSANDER SOROKIN**

Pomieszczenie poczekalni sprawiało wrażenie gruntownie odświeżonego. Ściany zwracały na siebie uwagę śnieżnobiałym kolorem, a wszystkie żarówki świeciły nieprzerwanym jasnym światłem w chłodnym odcieniu. W rogach i kątach nie kłuły oczu niedomyte powierzchnie powstałe po wielokrotnym i niedokładnym przemyciu mopem. Na ladzie recepcji pielęgniarskiej po sięgnięcie zachęcały równo ułożone ulotki, choć wszystkie wydawały się już nieaktualne. Kiedy tłum ludzi wypełniający niedużą poczekalnię przypadkowo zsynchronizował się i nikt przez chwilę nic nie mówił, w tle można było nawet usłyszeć jakieś polskojęzyczne radio z zachodniej części kraju. Jednak to, co najbardziej rzucało się w oczy matce pięcioletniego Igora, to fugi między płytkami podłogowymi. Te również były nieskazitelnie czyste.

– Ciekawe, czego używają do tych fug… – powiedziała zamyślona kobieta, delikatnie bujając na kolanie swojego synka.

– Co? – nachylił się do niej wpatrzony w ścianę mąż.

– Nic. Wziąłeś z domu pieniądze?

– No tak, ale nie wiem, czy starczy. A leki ile mają kosztować i skąd je weźmiemy?

– A skąd mam wiedzieć? Idziemy do lekarza, to się zaraz dowiemy.

Mężczyzna zacisnął zęby.

– Idziemy do Ruska, to co to za lekarz? Musi mieć tupet, żeby tu siedzieć. Nie boi się, że w końcu go pobiją czy nawet zabiją za to wszystko?

– Przestań, dobra? – zdenerwowała się kobieta. Od samego rana obawiała się, że nie uniknie tej rozmowy. – Ustaliliśmy w domu, że dasz już spokój.

– Przecież sama wiesz…

– Nie zachowuj się jak mały chłopiec. I co, może jak stwierdzi, że Igorek jest chory, to sam mu zaczniesz wygrażać?

– Może…

– Dobra, wiesz co, nie musisz tu z nami siedzieć. Jak chcesz, to idź już do domu pakować resztę rzeczy.

– Ile jeszcze osób przed nami? – poirytowany swoją słabością mężczyzna spróbował zmienić temat.

– Chyba z pięć.

– Dobra, to idę zapalić.

– To idź.

Gdy wstał i zniknął między ludźmi stłoczonymi przy recepcji, kobieta ze zniecierpliwionym dzieckiem znowu zaczęła sondować pomieszczenie, zastanawiając się, komu chce się utrzymywać tu taki porządek. Tłum z jej prawej strony kolejny raz ucichł, co mogło oznaczać, że ktoś wyszedł z gabinetu lekarza i kolejka znowu pójdzie do przodu.

Na zewnątrz było chłodno i szaro, a słońce z samego rana schowało się za ciemnymi chmurami. Mężczyzna wyciągnął papierosa i spojrzał na wyłożony trylinką placyk przed przychodnią. Oprócz ich starego mercedesa na zewnątrz stały jeszcze dwie inne osobówki. Zaciągnął się dymem i spojrzał przed siebie – po drugiej stronie placyku nie było zabudowań, a zaczynał się lasek. Świeże powietrze i delikatny chłód ciągnący od drzew w innej sytuacji mogłyby nawet zachęcać do krótkiego spaceru.

Mężczyzna wiedział jednak, że w głębi lasu zlokalizowane są pozostałości wojskowego poligonu, jeszcze z czasów drugiej wojny światowej, a obecnie teren ten jest intensywnie używany przez wojska rosyjskie, w tym jednostki specjalne. Amerykanie omijają szerokim łukiem tę okolicę. Żołnierze NATO na patrolach mówią zaś Polakom, że to gniazdo os i nie należy się do niego zbliżać, bo można zniknąć. Mężczyznę momentalnie przeszył zimny dreszcz. Zielony kolor kniei zrobił się jakiś ciemnozgniły, a cienie między drzewami zaczęły się poruszać. Odwrócił wzrok. Właśnie jakaś rodzina z dwójką dzieci wychodziła z przychodni.

– Marek, o co chodzi? Dlaczego wychodzimy? – spytała kobieta trzymająca młodą dziewczynkę za rękę.

– Bo tak. I tak byśmy nie zdążyli…

Rodzina zaczęła pakować się do jednego z dwóch zaparkowanych przed budynkiem samochodów. Mimo że było to kombi, w środku nie starczyłoby już miejsca na choćby najmniejszą walizkę. Gdy silnik diesla rozpoczął swój stukający koncert, ruszyli w kierunku ulicy Jagodnicy, zostawiając za sobą czarną chmurę spalonej ropy.

Mężczyzna jeszcze raz wzdrygnął się, rzucając okiem na dróżkę prowadzącą do lasu, i upuścił niedopałek z ręki. Gdy wracał na teren przychodni, usłyszał pojazdy zbliżające się od strony ulicy Partyzantów. Zanim dotarł do wejścia, dwa samochody podjechały pod ogrodzenie. To nie byli pacjenci. W sumie było ich ośmiu. Trzech wysiadło i szybkim krokiem ruszyło do przychodni. Ostatni z trójki zlustrował nachalnie mężczyznę, gdy go mijali. Reszta, włącznie z kierowcami, została w pojazdach.

Drugi z samochodów po kilku sekundach ruszył i wyminął pierwszy, po czym zaparkował, ustawiając się przodem do przychodni, kilkanaście metrów dalej, w rogu placyku, bliżej diabelskiego lasku. Samochody miały lokalne, łódzkie rejestracje. Choć przechodzący obok niego młodzieńcy nie wypowiedzieli ani jednego słowa, mężczyzna był przekonany, że to Polacy. Z jednej hipotezy płynnie przeskoczył do drugiej. Ta zakładała, że mogą to być ludzie z polskiej partyzantki. Ciekawość była ogromna. Sięgnął po drugiego papierosa.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedział jeden z mężczyzn, kiedy bez pytania wpakowali się do gabinetu. Za zamykającymi się drzwiami dało się jeszcze chwilę słyszeć szepty i pomruki zdziwienia i niezadowolenia ludzi oczekujących na swoją kolej.

– Kim panowie są? – zapytał jasnowłosy lekarz, siedzący za prostym, szpitalnym stołem.

– Nazywam się Daniel, a to moi koledzy. Jesteśmy z Polskiej Gwardii Walczącej. Proszę się nie martwić.

– Nie martwię się.

– No to się cieszę. Musi pan pójść z nami, w tej chwili.

– Przykro mi, ale mam pacjentów. Zresztą sami chyba widzicie.

– Czas nas goni. Nie chcemy panu zrobić krzywdy, chcemy panu coś pokazać.

– Skąd wiecie, kim jestem?

– Panie doktorze… – Daniel na chwilę zawiesił głos. – Tutaj każdy pana zna.

– W takim razie tym bardziej proszę natychmiast stąd wyjść i pozwolić mi pracować! – niespodziewanie krzyknął rozjątrzony najściem lekarz.

– Proszę się nie denerwować. Nie chcemy używać siły i robić przedstawienia. Wyjdzie pan i powie pacjentom, że sytuacja nagła.

– Rozumiem… Znowu zaprowadziliście któregoś ze swoich kolegów pod lufę i trzeba szybko pomóc. Ile razy wam mówiłem, żebyście dali sobie spokój? Wasz opór nie ma sensu. Chcecie się wykrwawiać? W jakim celu? Bo jakiś generał wpoił wam idee wolności w swoim kraju? Kim w ogóle jest ten człowiek? Który z was go widział? Na moje oko ktoś wam kit sprzedaje. Siedźcie w domu z rodzinami albo uciekajcie na Zachód. A teraz wynocha, bo i na mnie ściągniecie kłopoty, większe niż mam obecnie.

Jeden z chłopaków był bliski wybuchnięcia i ruszył na doktora, jednak Daniel go powstrzymał.

– Proszę pana, ale po co ta tyrada? Nie ma na to wszystko czasu. Tym razem nie prosimy o pomoc lekarską. To my chcemy panu pomóc.

– Pomóc? A jak wy mi możecie pomóc? Przywieźć z zachodniej Polski więcej strzykawek i gazy? To sam mogę sobie zorganizować.

– Miał pan brata w rosyjskich służbach specjalnych, prawda? – zapytał niespodziewanie Daniel.

Lekarz zamilkł. Utkwił za to wzrok w ramce ze zdjęciem postawionej tyłem do Polaków. Daniel domyślał się, kto może być na fotografii.

– A co wam do tego?

– Jeszcze raz, proszę z nami.

Ktoś zapukał, a potem gwałtownie uchylił drzwi. Okazało się, że to ostatni z partyzantów.

– W poczekalni jest dwójka szpicli w cywilu, chyba ze straży ludowej – zameldował, starając się zachować zimną krew, choć słychać było, że porządnie zaschło mu w gardle. Nie czekając na odpowiedź, zamknął drzwi.

Daniel odwrócił się do lekarza.

– Doktorze – ponaglił najspokojniej, jak tylko potrafił.

– Co z nim?

– Z kim?

– Z moim bratem, przecież już dawno…

– Proszę nie kończyć. I proszę wybaczyć, ale trudno tu cokolwiek powiedzieć. Lepiej pokazać.

Doktor spojrzał w oczy Daniela, po czym wstał i zaczął zbierać swoje rzeczy do skórzanej torby. Dopiero teraz okazało się, że jest bardzo wysoki. Co najmniej dwa metry wzrostu, o głowę wyższy od najwyższego z trójki Polaków, Daniela.

– Chodźmy.

– Wspaniale – rzucił partyzant. – Pan nam zaufał i my panu ufamy. Proszę kierować się do wejścia. My wyjdziemy przez okno. Kiedy pan wyjdzie, proszę udać się do zielonej hondy, na klapce od paliwa ma naklejoną żółtą buźkę.

– Poruszające… – stwierdził doktor Sorokin, po czym błyskawicznie złapał wszystkie swoje rzeczy i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

– Sprawdził ktoś w ogóle, czy któreś okno się otwiera? – zapytał nagle Daniel, gdy lekarza nie było już w pokoju.

Sorokin momentalnie natknął się na korytarzu na dwie niemiłe gęby. Właśnie legitymowali kolejnych pechowców z tłumu. Gdy lekarz pojawił się w holu, wszyscy oprócz płaczących dzieci zamilkli.

– No witamy wyedukowanego inteligenta. Pan doktor gdzie się wybiera? – zapytał niższy ze szpicli ubranych po cywilnemu.

Obaj mieli zawieszone na szyi dokumenty, przez co kojarzyli się z dawnymi kanarami w tramwaju. Byli Polakami. Kolaborantami, kablami, informatorami, donosicielami, konfidentami, niezależnie jakiego by słowa nie użyć – byli parszywcami. Sorokin, jak wielu, takich nienawidził najbardziej.

– Idę zapalić – odpowiedział stanowczo. – Jeżeli wszystkich już sprawdziliście, proszę stąd wyjść, ludzie się gorączkują.

Gdy dwójka konfidentów usłyszała rosyjski akcent w słowach lekarza, spuściła nieco z tonu.

– Zaraz kończymy, panie doktorze. Ale i pana dokumenty musimy sprawdzić.

Medyk bez wahania chwycił za smycz zawieszoną na szyi i wyciągnął spod kitla swoją legitymację lekarską wydaną blisko dwadzieścia lat wcześniej w Petersburgu. Młodzi konfidenci wytrzeszczyli oczy, z zaciekawieniem patrząc na wyjęty kawałek startego plastiku.

*Aleksander Sorokin, lekarz – specjalista neurochirurg*

*Państwowa Akademia Medyczna*

*im. I. I. Miecznikowa w Petersburgu*

*Wydział Neurologii i Psychiatrii*

Po dwóch gębach jak po jednym oceanie przelała się kolejna fala zaskoczenia.

– A teraz, moi mili partacze, to od was zależy, czy waszym zleceniodawcom, a moim pobratymcom, którzy w końcu robią porządek w tym zdziczałym od zachodnich wpływów kraju, powiem o was dobrze czy wręcz przeciwnie. Może poskarżę się dowódcy batalionu specjalnego ćwiczącego za tamtym lasem, że nieustannie przeszkadzacie mi we wtapianiu się w polskie społeczeństwo w celu inwigilowania go na wypadek wspierania przez nie Polskiej Gwardii Walczącej – zakończył pewnie Sorokin, pochylony nad zdecydowanie niższymi od niego konfidentami.

Gdy ich minął, usłyszał jeszcze kilka słów o sobie.

– Patrz go, Rosjanin, a dobrodusznie leczy Polaków – rzucił ten o wyjątkowo głupim spojrzeniu.

– No chyba powiedział ci, debilu, że społeczność inwigiluje – odpowiedział drugi z parszywców.

Większość ludzi ściśniętych w korytarzu nadal w ciszy obserwowała zajście, choć pojawiały się już pojedyncze szepty. Najbardziej w ucho wwiercał się suchy kaszel pięcioletniego Igorka. Jego zmęczona matka, cierpliwie trzymająca go na kolanach, zwróciła uwagę lekarza. Gdy Sorokin znalazł się obok nich, przyklęknął przy chłopcu i zdjął z szyi leciwie wyglądający stetoskop. Zaczął osłuchiwać dziecko.

– Proszę o ciszę! – warknął głośno do tłumu. Ten natychmiast posłusznie zareagował. Po chwili nasłuchiwania i przegryzania wargi lekarz stwierdził: – Droga pani, proszę spróbować butamiratu i poprosić w aptece o jakieś leki z kodeiną lub dekstrometorfanem. A jak nie będzie, to syrop sosnowy. Pewnie nie będą mieli, ale może pani zapytać też o tabletki z propolisem. Pan jest mężem? – zapytał

cuchnącego papierosami mężczyznę.

– Tak, a co? – odburknął tamten, obrzucając Rosjanina niemiłym spojrzeniem.

Doktor Sorokin sięgnął do torby i wyjął pojedynczy blister tabletek.

– To jest lek z propolisem. Proszę dawać małemu cztery tabletki dziennie, póki się nie skończą. Wtedy wróćcie tutaj do mnie. Proszę zapamiętać i uważać na rodzinę.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Wziął drogocenne, jak na obecne okoliczności, leki i z grymasem spojrzał na żonę.

– Dziękuję, panie doktorze! – krzyknęła matka kaszlącego chłopca do lekarza, kiedy ten był już kilku pacjentów dalej.

Sorokin nie przejął się zachowaniem mężczyzny. Zdarzało się, że Polacy gorzej go traktowali. Skupił się na przypominaniu sobie swojego brata i dalej przeciskał się przez tłum patrzących na niego ludzi. Miał ochotę przeprosić wszystkich za długie i bezsensowne godziny oczekiwania w kolejce, ale pamiętał o dwóch tajniakach. Ci z pasją zabrali się już za legitymowanie reszty osób oczekujących na pomoc w trudnych czasach.

– Muszę natychmiast wyjść. Gdy ta dwójka szczurów stąd pójdzie, odczekaj, proszę, jeszcze kilka minut i przeproś wszystkich w moim imieniu – rzucił Sorokin do pielęgniarki Agnieszki Połymko, Polki spod Łodzi, którą mąż zostawił i uciekł z przyjaciółką na Zachód.

– Dobrze, panie doktorze. Coś się stało?

– Mój brat znowu coś przeskrobał – odpowiedział szczerze Sorokin i ruszył dalej.

– Jak to? Przecież mówił pan doktor, że brat już dawno…

– Tak, wiem. Ale w tych szalonych czasach ma to widocznie coraz mniejsze znacznie.

Lekarz, choć z wielkim trudem, zaczął przeciskać się do wiatrołapu. Nie zauważył, że mężczyzna, któremu przed chwilą podarował leki dla syna, wstał i również zaczął przeciskać się między ludźmi. Po chwili Rosjanin był już na zewnątrz i cieszył się świeżym powietrzem w płucach. Właściwie od razu spostrzegł ruszające spod lasku zielone auto z zadowoloną buźką na osłonce wlewu paliwa. Nigdzie nie zauważył Daniela i pozostałej dwójki towarzyszącej mu w gabinecie. Wsiadając bez słowa na tylną kanapę samochodu, nie mógł też dostrzec ojca pięciolatka stojącego w przedsionku przychodni.

Śledzący go mężczyzna, mimo zaawansowanej, choć ciągle bezobjawowej jaskry, miał jeszcze całkiem dobry wzrok. Dostrzegł więc bez problemu numer rejestracyjny samochodu, zanim ten zniknął ostatecznie za winklem ogrodzenia. Stał jeszcze chwilę przy przyciemnianej szybie szerokich drzwi wejściowych, po czym postanowił wrócić do rodziny w tłumie. Na jego twarzy pierwszy raz tego dnia pojawił się szczery uśmiech. Też był donosicielem. Choć bardziej skrytym i wydawało mu się, że z ideami, to z podobnym wynagrodzeniem. Jedyną różnicą było to, że pieniądze odbierał z innych rąk i w innej walucie.